

KONRAD STASZEWSKI

ŚMIERĆ NA ŚNIEGU



FOX PUBLISHING

**ŚMIERĆ
NA ŚNIEGU**

KONRAD STASZEWSKI

**ŚMIERĆ
NA ŚNIEGU**

FOX PUBLISHING

Poczułem na twarzy powiew zimnego powietrza. Dziwne. Może nie zamknąłem drzwi po wejściu do mieszkania?

Zadrzałem z zimna. Chłód przeniknął moje ciało, zupełnie jakbym poszedł spać nago. Niemożliwe... Nieraz w życiu wypilem więcej niż wczoraj, często na drugi dzień niczego nie pamiętałem. Zresztą, nie tylko ja, większości chłopaków z kryminalistyki czasem się to zdarzało.

A może zapomniałem zamknąć okno w pokoju? Na dworze straszyl koniec listopada, noce były coraz chłodniejsze, według synoptyków nadchodziła zima stulecia.

Postanowiłem nie otwierać od razu oczu. Powieki miałem ciężkie, jakby sklezione butaprenem. Chciało mi się palić, zacząłem więc po omacku szukać ostatniej paczki papierosów i metalowej zapalniczki, pewnie rzuconej pod łóżko.

Jednak nie natrafiłem na żadną przeszkodę.

– Cholera!

Wreszcie dotkliwy ziąb zmusił mnie do otwarcia oczu.

– O, kurwa! – moje przekleństwo odbiło się echem w obojętnej głowie. – Gdzie ja jestem? Halo, jest tu kto?

Odpowiedziało mi tylko echo, zupełnie jakby naśmiewało się ze mnie.

To jakiś koszmar. Przecież skoro zasnąłem w swoim łóżku, w mieszkaniu, to dlaczego leżę teraz na śniegu?!

Z trudem się podniosłem. Wszystko mnie bolało, jakby ktoś pogruchotał mi kości. Rozejrzałem się dokoła. Gdy

oczy przyzwyczyły się do ciemności, zacząłem rozróżniać kontury otaczających mnie drzew. Stałem w głębokim lesie pokrytym śniegiem, który musiał niedawno spaść. Jednak nie to mnie zaszokowało – nie wszechogarniające zimno, nie śnieg i nie las, jak okiem sięgnąć, tylko to ciało leżące u moich stóp, plecami do góry.

Nie miałem pewności, czy należało do kobiety, czy mężczyzny. Nie widziałem żadnych oznak życia. Mógłbym sprawdzić, ale nie miałem odwagi obrócić go na plecy i zostawić śladów mojej obecności, jeśli popełniono tu zbrodnię.

Nagle zza chmur wyłonił się księżyc i zobaczyłem to, czego nie dostrzegłem wcześniej – w przeciwieństwie do mnie, nieboszyk był ubrany. Na plecach trupa leżał pistolet. Pewnie morderca podrzucił narzędzie zbrodni. A może to jakaś wskazówka?

Rozejrzałem się dokoła, ale na białej płaszczyźnie wśród drzew dostrzegłem tylko pojedyncze ślady stóp. Przypomniały mi się wszystkie tandetne seriale detektywistyczne, które kiedyś nałogowo oglądałem.

Nagle milion pytań zaczął mi się kłębić w głowie.

– Nie ruszaj się! Ręce do góry! Drgniesz, a rozwalę ci łeb, gnoju! – niespodziewanie ktoś krzyknął za moimi plecami.

Nim zdążyłem się odwrócić, napastnik podciął mi nogi i upadłem z powrotem na śnieg obok denata. Pod ręką poczułem mały, gładki kształt. Osobnik za moimi plecami nie pozwolił mi nawet zaprotestować, przygniół kolanem i założył kajdanki na przeguby. Leżałem z rękami wykręconymi na plecach, w ustach mając śnieg zmieszany z błotem.

– To twoje? – zapytał i podsunął mi przed oczy pakunek, który wyglądał jak mój portfel.

– Chyba tak – odpowiedziałem.

Po chwili mężczyzna jednym szarpnięciem podniósł mnie z ziemi. Chciałem się odwrócić i coś powiedzieć, ale

kątem oka zobaczyłem tylko wycelowaną we mnie lufę pistoletu. Poczułem silne uderzenie w tył głowy i straciłem przytomność.

*

Ocknąłem się w niezbyt przyjaznym miejscu. Cella, w której mnie umieszczono, była zimna i obmierzła. Jedyne okno wpuszczało przez kraty niewiele światła. Denerwowało mnie, że sobotę spędzę w areszcie, obawiałem się, że może się to przeciągnąć na cały weekend. Nic jednak nie mogłem na to poradzić.

Wolno, niczym osiemdziesięciolatek z reumatyzmem, zwlokłem się z pryczy, zmusiłem do porzucenia kości, póki nie usłyszałem ich trzeszczenia. Poza tym nadal mnie bolały.

Zaczęła mnie łupać głowa, jakby ktoś bez znieczulenia przeprowadzał mi trepanację czaszki. Dotknąłem skroni – bolała jak diabli. Na domiar złego słyszałem krzyki innych więźniów. Nie szczydzili mi gróźb i wyzwick. Czyżby dowiedzieli się, że jestem policjantem? Na szczęście w celi byłem sam.

Przez chwilę zastanawiałem się, gdzie jestem. Po ciemku nie rozpoznałem lasu, w którym się obudziłem, trudno więc ustalić, który komisariat stał się moim tymczasowym domem.

Na pewno nie były to Katowice. Przecież ani moi koledzy, ani tym bardziej zastępca komendanta, Karwas, nie uwierzyliby, że mógłbym kogoś zamordować, chyba tylko w obronie własnej. Ci, którzy mnie tu przywieźli, z pewnością sprawdzili w bazie danych, kim jestem. Byłem pewny, że zaczęli już przygotowywać raport.

Liczyłem, że przesłuchanie potwierdzi moją niewinność i wypuszczą mnie z tego przekłętego miejsca.

Słyszałem, jak klawisz otwiera kraty do niektórych cel i podaje więźniom posiłki. Drzwi skrzypiały niemiłosiernie. Moja krata była pewnie tak samo zardzewiała.

Wreszcie usłyszałem odgłos szybko zbliżających się kroków, którym towarzyszyły zwierzęce wrzaski innych lokatorów tego przybytku. Po chwili ktoś otworzył moją celę i do środka weszło dwóch strażników, mniej więcej w moim wieku. Domyślałem się, że mogli być mniej doświadczeni ode mnie, ale wyglądali na służbistów i czułem, że niewiele uda mi się z nimi załatwić.

Zaraz zresztą w progu stanął trzeci strażnik. Wydawał się niewiele starszy ode mnie, jednak siwizna już wkradała się w jego wąsy i brwi. Brązowe oczy spoglądały na mnie przyjaźnie. Był przynajmniej o kilkanaście centymetrów wyższy ode mnie.

Funkcjonariusze bez pardonu pchnęli mnie do wyjścia.

– Przepraszam, ale musiała zajść jakaś pomyłka. Jestem...

Nie dokończyłem. Przerwało mi niespodziewane, silne uderzenie w kręgosłup. Starszy strażnik wałnął mnie blondynką, jak kiedyś nazywano takie pałki policyjne, i skuł.

Jego oczy nie zmieniły wyrazu i nadal łudziły fałszywą przyjaźnią, głos zabrzmiał twardo i beznamiętnie:

– Idziemy i ani słowa, póki nie pozwolę.

Wcale nie miałem zamiaru się odzywać, ale obiecałem sobie w myśli kiedyś inaczej porozmawiać z tym skurwielem.

Zawlekli mnie do pomieszczenia z dwojgiem drzwi, za to bez okna. Pojedyncza, wisząca pod sufitem żarówka oślepiła mnie. Minęło kilka sekund, zanim oczy przyzwyczyły się do sztucznego oświetlenia. Wiedziałem, że to działanie psychologiczne często stosowane na komisariatach: przesłuchiwany po wyjściu nigdy nie wiedział, ile czasu przebywał w takim pomieszczeniu.

Dla mnie najgorsze było to, że nie wiedziałem, w którym kierunku zostanie poprowadzone przesłuchanie i przez kogo.

Strażnik posadził mnie na krześle i zdjął kajdanki. Nie pozwolił jednak rozruszać nadgarstków – wykręcił mi ręce do tyłu i ponownie zatrzasnął kajdanki, unieruchamiając dłonie między oparciem krzesła. Wyszedł i zamknął drzwi pomieszczenia przesłuchań. Miałem trochę czasu, więc mogłem przyrzeć się umeblowaniu. Pokój był nowy, ale stół nie. Pochodził chyba jeszcze z czasów PRL-u i pewnie już wtedy służył do przesłuchań. Nadal straszył niechlubną przeszłością. Dostrzegłem ślady po papierosach i plamach krwi.

Minęło kilka minut, zanim drugimi drzwiami weszli dwaj mundurowi. Przez ten czas myślałem o systemie. Dziwne, pracuję w wydziale kryminalnym, ale do tej pory jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym całym aparatem śledczym i traktowaniem podejrzanych. Zabrano mi wszystko, co miałem przy sobie, zegarek, sygnet i portfel z dokumentami. Gdy byłem nieprzytomny, ubrano mnie w jakieś łachmany, ale w tej chwili oddałbym nawet je za możliwość zaciągnięcia się papierosem.

Oficerowie byli do siebie bardzo podobni. To samo zimne, nienawistne spojrzenie, ostre wschodnie rysy twarzy. Jakby tego było mało, krótko obcięci, wyglądali, jakby wyszli prosto z siłowni. Różnili się tylko wiekiem i stopniami. Jeden z nich, ten starszy, na oko sześćdziesięcioletni, był komisarzem, a drugi podkomisarzem. Starszy trzymał w ręce foliowy woreczek, w którym dostrzegłem jakieś zdjęcia. Nie wiedziałem jeszcze, z kim mam do czynienia.

Usiedli po drugiej stronie stolika i przyglądali mi się przez chwilę w milczeniu. Usłyszałem trzask włączanego odtwarzacza i z głośników doleciał mnie głos:

– Krystian Rokicki, lat czterdzieści. Urodzony dwudziestego siódmego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Z zawodu policjant, w stopniu starszego aspiranta, zatrudniony w Wydziale Kryminalnym Komendy Woje-

wódzkiej Policji w Katowicach. Kawaler. Miejsce urodzenia i zamieszkania: Katowice, Polska.

Głos z magnetofonu ucichł i pierwszy raz odezwał się starszy z przesłuchujących.

– Zgadza się?

Postanowiłem nie odpowiadać. Musiałem przyznać, że byłem zaskoczony ich pomysłowością. Niektóre komisariaty na przykładzie tego mogłyby się uczyć oszczędności: zamiast aspiranta – magnetofon, a protokolanta pewnie kamery i zapis audio-wideo. Co prawda nigdzie nie dostrzegłem kamery ani mikrofonów, ale też funkcjonariusze nie byli protokolantami.

– Zadałem panu pytanie, czy przedstawione dane są zgodne z rzeczywistością.

Spojrzałem komisarzowi prosto w oczy.

– Nie wiem... – zawiesiłem głos. Postanowiłem nie kończyć myśli i pozostawić ich w niepewności.

– Jak to pan nie wie?

– Nie wiem, czego uczyli was w akademii, ale mnie uczo-
no logiki. Policja gromadzi dane z wywiadu, a potem sama weryfikuje ich zgodność z prawdą z różnych źródeł. Odczytywanie ich przesłuchiwanemu służy tylko uzyskaniu potwierdzenia z jego ust.

Zaschło mi w gardle.

– W związku z tym, czy te dane są zgodne z prawdą?

– Uczyli mnie także, że pytania retoryczne nie wymagają żadnej odpowiedzi.

Od kilkudziesięciu minut znajdowałem się na silnym głodzie nikotynowym. Nie czułem go, gdy byłem nieprzytomny, teraz wrócił ze zdwojoną siłą.

– Ale jakiejś właśnie pan udzielił.

– Właśnie – uśmiechnąłem się na myśl, że moje odpowiedzi stają się coraz bardziej zdawkowe i coraz mocniej denerwuję przesłuchujących.

– Uważasz się za cwaniaczka, co? – podkomisarz zaczął tracić już cierpliwość. Wstał zza stołu i oparł się dłońmi o blat. Zmarszczył krzaczaste brwi i krzyknął mi prawie w ucho. – Erudyta się znalazł, co?!

Uśmiechnąłem się tylko i odpowiedziałem wymownym milczeniem.

– Dość!

– Daj spokój i siadaj – zwrócił mu uwagę starszy. Tamten spojrział na niego zupełnie zaskoczony, ale posłuchał.

– A może papierosa? – starszy z funkcjonariuszy wyjął z kieszeni paczkę i zapalniczkę. Wiedziałem już, że odpowiem na każde pytanie.

– To jak, czy te informacje są zgodne z prawdą?

– Tak.

– Od jak dawna jest pan policjantem?

– Od czternastu lat.

– Czy to pańska pierwsza praca?

– Tak, przyszedłem do policji od razu po akademii.

– W takim razie nie był pan idealnym uczniem, chociaż to i tak niezła kariera, jak na żółtodzioba.

Znów odpowiedziałem milczeniem i szerokim uśmiechem na zaczepkę podkomisarza.

– Skąd to zainteresowanie mundurem?

– Za dużo się naoglądałem seriali sensacyjnych.

– Czyli nie było żadnych nacisków zewnętrznych?

– Nie.

– Czy zawsze po północy chodzi pan nago, czy tylko wtedy, gdy akurat znajduje się pan na miejscu zbrodni? – zapytał podkomisarz.

– Insynuuje pan coś? – warknąłem. Młodszy pomału zaczął mnie irytować.

– Tylko głośno myślę.

– Mam nadzieję, że to także znajdzie się w protokole.

Moja złośliwość odniosła pożądany skutek, ponieważ policjant został wysłany po szklankę wody i kluczyk do moich kajdanek.

Starszy z przesłuchujących, gdy zostaliśmy sami w pokoju, wyjął zdjęcia z woreczka i podsunął mi pod nos. Zerknąłem na nie z zainteresowaniem. Uwieczniono na nich znalezionego przeze mnie denata. Ze zdumieniem zauważyłem, że jest ciemnoskóry, czego w nocy nie dostrzegłem.

– Czy zna pan tego człowieka?

– Nie. Widzę go pierwszy raz w życiu.

– Na pewno?

– Tak. Nie. Pierwszy raz zobaczyłem go w lesie dzisiejszej nocy.

– I nie zna go pan, nie wie, kim jest?

– Niestety nie. Za to wy już pewnie wiecie?

– Pracujemy nad tym. I niech mi pan wierzy, dowiemy się.

Zabrzmiało to jak groźba skierowana pod moim adresem.

– Te zdjęcia wykonano na miejscu zbrodni. Dzisiejszej nocy. Nie utrwalono na nich daty ani godziny, ale mamy co do tego pewność. Więcej, domyślamy się, że zrobiono je jeszcze przed pańskim zatrzymaniem.

– Ja ich nie zrobiłem.

– Nie znaleźliśmy przy panu aparatu fotograficznego, to prawda, ale mógł pan je wykonać wcześniej i wrócić na miejsce zbrodni.

– Trochę to naciągane. Pewnie zrobił je morderca. Nie widzę na śniegu żadnych śladów. Stał do nich tyłem?

– Sprytnie, próbuje pan oddalić od siebie podejrzenia. Dobrze, zostawmy na razie ten temat. Czy ma pan broń służbową?

– Tak, pistolet glock.

– Gdzie on teraz się znajduje?

- Gdzieś w moim mieszkaniu.
- A dokładnie?
- Nie pamiętam, gdzieś go rzuciłem.
- Dlaczego nie miał pan przy sobie broni?

W tym momencie do pokoju wrócił podkomisarz. Postawił tuż przede mną szklanę z wodą, a swojemu koledze podał foliowy woreczek z pistoletem w środku. Zdjął mi kajdanki, a potem usiadł za stołem.

- Niech się pan zastanowi nad odpowiedzią. Spokojnie. Domyślałem się, że ta rozmowa może być dla pana stresująca. Niech pan sobie zapali, może się napije.

Akurat tego nie trzeba mi było powtarzać. Z wody nie skorzystałem, ale tytoniu potrzebowałem jak ryba powietrza. Pozwolili mi w ciszy wypalić trzy papierosy. Boże, w życiu chyba gorszych nie paliłem. Cały czas obserwowali mnie w milczeniu. Zapaliłem kolejnego papierosa, ale tylko raz się nim zaciągnąłem. Sytuacja zaczynała mnie nieco śmieszyć i przerażać jednocześnie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że oni naprawdę chcą oskarżyć mnie o morderstwo. Postanowiłem walczyć.

- Spróbujmy coś sobie wyjaśnić. Nie wiem, gdzie jestem ani w jaki sposób znalazłem się w lesie. Zasnąłem w swoim łóżku, a obudziłem się w zupełnie nieznanym mi miejscu, w dodatku nagi. Nikogo nie zamordowałem i nie znam ofiary.

Zacząłem kaszleć z wysiłku i musiałem znowu zaciągnąć się dymem. Słuchali mnie tak, jak dzieci słuchają dobrze opowiadanej bajki.

Komisarz zapytał po dłuższej chwili namysłu:

- Czy ktoś może to potwierdzić?
- Tak, starszy aspirant Hieronim Rakowiecki.
- Sprawdźmy to. A teraz niech mi pan powie, czy pozna-
je tę broń - pchnął po stole woreczek z pistoletem.

– Oczywiście. To jest glock, taki sam jak mój. To broń służbowa. U nas wszyscy taką noszą.

– Wszyscy w Komendzie Wojewódzkiej?

– Tak, ale nie tylko. Domyślałem się, że pan także taką ma. Zignorował moją zaczepkę, ale wydawało mi się, że dostrzegłem błysk rozbawienia w oczach młodszego.

– Czy to jest pański pistolet?

– Powiedziałem już, że moja broń jest gdzieś w domu.

– To także sprawdzimy. Czy może należeć do któregoś z pańskich kolegów?

– Możliwe, ale nie mogę tego zagwarantować. Nie tylko policjanci używają takiej broni. Bandyci także.

– Czy kiedy znalazł się pan w lesie, dostrzegł pistolet na ciele ofiary?

– Tak, ale nie widziałem rany postrzałowej.

– Czy wie pan, co to była za broń?

– Niestety, nie rozpoznałem jej. Było zbyt ciemno. Domyślałem się jednak, że to ten.

– No dobra, bystrzaku. Tak, to ta broń – wtrącił się podkomisarz. – Zdjęliśmy z niej odciski palców.

Nastąpiła chwila teatralnej ciszy, po czym kontynuował:

– Niestety nie należą do ciebie.

Uśmiechnąłem się złośliwie. Chcieli, żeby były moje.

– Ale i tak cię dopadniemy.

Starszy z przesłuchujących wstał, młodszy zrobił to samo i obaj opuścili pokój przesłuchań. W progu minęli się ze strażnikiem, który wszedł i ponownie założył mi kajdanki. Na szczęście nie był tak brutalny, jak poprzedni.

*

Przyprowadzono mnie z powrotem, zdjęto kajdanki i wepchnięto do celi. Usiadłem na pryczy i oparłem głowę na dłoniach. Nie wiedziałem nawet, która jest godzina

ani ile czasu mnie już przetrzymują. Wiedziałem tylko, że nie mogą tego robić długo, jeśli nie postawią mi zarzutów. A jeszcze tego nie zrobili.

Słaby snop światła wpadał przez okno. Mogłem się tylko domyślać, że minęło południe. Chociaż to też nie wydawało mi się całkiem miarodajne. Nawet gdyby była noc, to i tak nie zmrużyłbym oka. Za dużo myśli kotłowało się w mojej głowie.

*

– To chyba nie on – podkomisarz zaczął mieć wątpliwości. Wolał nie patrzeć w oczy swojemu koledze. Weszli do małego pomieszczenia.

– Na razie nie mamy nikogo innego. Tylko on był na miejscu zbrodni i pomimo tego, że na broni nie znaleźliśmy jego odcisków palców, jest naszym głównym podejrzanym.

– Wiem. Mam jednak wątpliwości.

– W takim razie słuchaj starszego rangą, zdaj się na moje doświadczenie. Teraz puść nagranie z przesłuchania.

Piotr Landorf podszedł do stojącego na stoliku przenośnego odtwarzacza DVD, otworzył kieszeń i włożył płytkę. W kilka sekund później na piętnastocalowym ekranie pojawił się obraz z pokoju przesłuchań. Z głośników dobiegły pierwsze słowa.

– Czego konkretnie szukamy?

– Jakiegokolwiek punktu zaczepienia – odpowiedział komisarz.

– Nawet naginanego?

– Powiedziałem: czegokolwiek!

Umilkli, ponieważ Rokicki na filmie zaczął odpowiadać na konkretne pytania. Landorf skupił się na zadawanych pytaniach i odpowiedziach przesłuchiwanego. Znał je i ponowne ich wysłuchiwanie wydawało mu się tylko stratą czasu. Lepiej mógłby go spożytkować, przeglądając dokumenty dotyczące defraudacji dużej sumy pieniędzy w ban-

ku, którą to sprawę prowadził od pewnego czasu. Komisarz Orlicki wpatrywał się jednak w ekran jak zahipnotyzowany.

– Boi się. Udaje opanowanego, ale w głębi duszy wie, że musi się przyznać do popełnionej zbrodni.

– Odnoszę przeciwne wrażenie – zaprzeczył Landorf. – Wydaje mi się, że spokój w jego oczach, twarzy i całej osobie dowodzą raczej jego niewinności.

– Pamiętaj, pozory mylą.

– Właśnie, dlatego obaj możemy być w błędzie.

Komisarz nie odpowiedział.

*

Minęły trzy godziny, przejrzeni nagranie kilka razy. Cofali do ważniejszych odpowiedzi i analizowali mowę ciała. Niestety nie znaleźli żadnego punktu zaczepienia. Zrezygnowani wrócili do swoich gabinetów. W chwilę później zadzwonił telefon na biurku młodszego z funkcjonariuszy. Wyświetlacz aparatu pokazywał numer wewnętrzny Orlickiego. Landorf podniósł słuchawkę.

– Stało się coś?

– Nie. Weź kilku ludzi i pojedź do mieszkania Rokickiego. Przy okazji odwiedźcie tego Rakowieckiego.

– A co z twoim urlopem?

– Najpierw wsadzę go do pudła.

– Rokickiego?

– Tak, chyba że tamten też jest winny, wtedy wsadzę obu.

Landorf zajął się do systemu komputerowego i w wewnętrznym programie adresowym znalazł miejsce zamieszkania funkcjonariusza Hieronima Rakowieckiego. Kilku ludzi wysłał do mieszkania Rokickiego, a sam w towarzystwie jednego policjanta i kierowcy pojechał porozmawiać z Rakowieckim. Starszy aspirant mieszkał przy ulicy Ciesielskiej w Katowicach-Szopienicach.

Podkomisarz spojrział na czteropiętrowy blok. Był czysty i pomalowany. Widocznie ktoś zaczął wreszcie dbać o tę dzielnicę przynajmniej z zewnątrz. Sam budynek niczym nie różnił się od pozostałych. Rakowiecki mieszkał w typowym blokowisku. Znajdujący się niedaleko żłobek i dzieci bawiące się w okolicy dodawały tej części Szopieniec szczególnego charakteru. Rosnące tam drzewa i kawałek trawnika mogły stanowić dobre miejsce obserwacyjne.

Landorf i towarzyszący mu policjant weszli na klatkę schodową. Podkomisarz pomyślał, że na wszelki wypadek lepiej najpierw zapukać do drzwi, a dopiero w ostateczności je wyważyć.

Weszli na trzecie piętro, zapukał parę razy. Po chwili oczekiwania zerknął na drugiego policjanta i zapukał ponownie, tym razem mocniej. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę – drzwi nie były zamknięte na klucz. Funkcjonariusz machinalnie wyjął z kabury pistolet. Landorf zrobił to samo, otworzył drzwi i równocześnie wpadli do mieszkania, z bronią w dłoniach. W całym bloku słychać było ich krzyk:

– Policja! Nie ruszać się!

*

Kilka sekund po przyjeździe radiowozu, trochę dalej na ulicy Ciesielskiej, w cieniu bloku zatrzymał się niewyróżniający się niczym, czarny mercedes. Nie był oznakowany, nie miał nawet przyciemnianych szyb.

Kierowca także wyglądał zwyczajnie. Po sześćdziesiątce, ubrany w tweedową marynarkę i dżinsowe spodnie. Gładko ogolony, krótko obcięty brunet.

Uchylił nieco szybę i spojrział na zegarek. Funkcjonariusz i jakiś mężczyzna weszli do bloku pięć minut temu. Z tej odległości go nie rozpoznał. Kierowca postanowił więc po-

czekać, aż wrócą do radiowozu. Chciał zobaczyć, co zrobią. Nie miał pojęcia, ile to potrwa, ale był cierpliwy. Niczego się nie obawiał. Wiedział, że nie zostawił po sobie żadnych śladów w mieszkaniu.

*

Minęło kilka minut, nim funkcjonariusz wybiegł z klatki schodowej i pobiegł za budynek, gdzie leżało ciało. Po kilku kolejnych minutach wrócił, podszedł do radiowozu. Przez opuszczoną szybę chwycił nadajnik. Policjant krzyczał do mikrofonu i siedzący w czarnym aucie mężczyzna wyraźnie słyszał składany meldunek. Nie spodziewał się innego. Przecież był w tym mieszkaniu dzień przed nimi i, jeżeli nic się nie zmieniło, wiedział, w jakim było stanie. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało, jakby starszy aspirant Rakowiecki nie wrócił na noc z pracy. Na łóżku leżała złożona w kostkę pościel, w szafce wyprane ubrania, a przy drzwiach wyjściowych czekały równo ułożone buty i kapcie. Lodówka była pełna zapasów.

Wszystko niby normalnie, z wyjątkiem otwartego na oścież okna i ciała Rakowieckiego leżącego trzy piętra niżej, po drugiej stronie bloku. Z chaszczy wystawała ledwo widoczna ludzka dłoń. Nie zdziwiło go, że nikt tego nie zgłosił jeszcze na policję. Miejsce spoczynku denata znajdowało się między blokami. Mężczyzna domyślał się, że w tej dzielnicy mało kogo obchodziła śmierć policjanta. Mieszkańcy pewnie bali się zawiadomić władze o jego tragicznej śmierci. On też nie mógł tego zrobić, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Zapadł już zmrok, uliczka wkrótce zapełniła się radiowozami i ciekawskimi gapiami. Teraz wyglądała jak różnokolorowo oświetlona sala w dyskotecie. Przyjechał również patolog sądowy oraz kilku dziennikarzy. Ktoś zaczął robić zdjęcia. W tym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi na odjeżdżającego z wyłączonymi światłami czarnego mercedesa.

*

Komisarz Orlicki poczerwieniał na twarzy. Z wściekłości trzęsły mu się ręce, gdy nalewał sobie wódki. Nie takiego meldunku i raportu oczekiwał.

Co prawda podkomisarz Landorf działał zgodnie z procedurami: zdał dokładny raport, wezwał patologa i wsparcie operacyjne, zabezpieczył teren przed wejściem nieuprawnionych osób i zaczął przepytować mieszkańców w związku z zaistniałą sytuacją, ale przyjechali także dziennikarze i nie można było już powstrzymać przecieków do prasy, a tego jego przełożony chciał uniknąć za wszelką cenę. Właśnie prasy obawiał się najbardziej. Orlicki już od lat cieszył się na awans. Trzy lata temu musiał obejść się smakiem. Teraz miał się go doczekać po powrocie z urlopu. Trzeba było tylko rozwiązać sprawę zabójstwa w lesie. Bez tego mógł znów pożegnać się ze stanowiskiem nadkomisarza. To była jego ostatnia szansa na awans przed pójściem na emeryturę. Nie chciał jeszcze kończyć kariery zawodowej, ale bał się, że może nie tylko nie awansować, ale w każdej chwili usłyszeć, że już czas zwolnić miejsce młodszemu.

Pomimo tego, że było już północy, postanowił jeszcze raz przesłuchać Rokickiego i wydobyć z niego więcej informacji, które mogłyby jakoś wykorzystać. Czekał jeszcze na dwa raporty: od patologa i z przeszukania domu Rokickiego. Powołał zespół, który miał się zająć między innymi zdobyciem informacji na temat znalezionej w lesie zamordowanej mężczyzny. W czasie porannego zebrania komisarz osobiście przydzielił każdemu z policjantów obowiązki. Nie liczył na cuda, ale na podstawie otrzymanych zdjęć postanowił odnaleźć jakichkolwiek krewnych denata. Komuś innemu polecił poszperać w urzędach meldunkowych i emigracyjnych. Orlicki nie wiedział, kto zrobił zdjęcia na miejscu zbrodni ani czy wysłał je wszystkie do komisariatu

na jego nazwisko. Nie chciał, żeby sprawa nabrała rozgłosu, ale domyślał się, że fotograf zostawił sobie kopie i na pewno zdążył skontaktować się już z mediami. Na wszelki wypadek kazał sprawdzić najbliższe laboratoria fotograficzne, ale obawiał się, że tajemniczy fotograf mógł mieć własny sprzęt, a wtedy zdjęcia nie byłyby nigdzie zarejestrowane. Jeszcze gorzej, jeśli zrobiono je aparatem cyfrowym i wydrukowano w domu, a ich autorem jest jakiś dziennikarz.

Trzeba to sprawdzić.

*

Czarny mercedes zatrzymał się na ulicy Krzemionki, obok komisariatu. Kierowca otworzył schowek od strony pasażera i wyjął zapalniczkę i cygaretkę. Zapalił cygaro i uchylił szybę. Potem włączył radio, przestawił częstotliwość na odbiór rozmów z pokoju przesłuchań. Czekał.

*

Przyszli po mnie. Nie byłem pewny, czy trwa jeszcze noc, czy jest już dzień. Jeśli dzień, to chyba niedziela.

Zaprowadzono mnie do tego samego pokoju przesłuchań, co poprzednio. Tym razem czekał na mnie tylko jeden funkcjonariusz, starszy z wcześniej przesłuchujących. Nie zdziwił mnie natomiast brak szklanki wody i papierosów.

Strażnik posadził mnie na krześle, skuł za oparciem ręce kajdankami i wyszedł.

Znów ta sama złowroga cisza. Słyszałem trzask magnetofonu, głos aspiranta, który podał nową datę przesłuchania, i machinalnie odpowiedziałem twierdząco na pytanie, czy ja to jestem ja.

Komisarz i ja przez chwilę patrzyliśmy na siebie jak dwóch bokserów mierzących się wzrokiem przed walką. Nie zmie-

nił ubrania, wciąż chodził w mundurze. Śmierdziało od niego potem. Chyba całą noc spędził na komisariacie. Szkoda, że o tym nie wiedziałem, może zaprosiłbym go i zaproponował grę w pokera. A może lepiej nie, bo jeśli komisarz jest homoseksualistą i przegrałbym partię... Nie chciałem o tym myśleć.

– Czy zdecydował się pan na skorzystanie z usług adwokata?

Spojrzałem mu głęboko w oczy. Były koloru wilka w lesie.

– Nie.

– Jak pan woli. Co pan robił w lesie? – komisarz ponownie zaczął wałkować ten sam temat.

– Nie wiem.

– Jak pan się tam znalazł?

– Nie wiem.

– Dlaczego był pan nagi?

– Nie wiem.

– Dobrze. Inaczej. Co pan robił wcześniej, zanim znalazł się w lesie?

– Spałem.

– A jeszcze wcześniej? – oficer starał się panować nad emocjami, a ja postanowiłem wyprowadzić go z równowagi. Wiedziałem przecież, że niczego na mnie nie ma, nie popełniłem przestępstwa i znaleziona broń też nie jest moja. Na szczęście Rakowiecki mógł potwierdzić moją wersję wydarzeń.

– Nie pamiętam. Może sikałem, a może srałem.

Nie udało mi się jednak osiągnąć zamierzonego celu. Wiedział, po co tu przyszedł, a ja wiedziałem, że jestem niewinny i muszę to udowodnić.

– A nie, przypomniałem sobie. Byłem w pracy i się objąłem. Przepraszam, miałem na myśli to, że przeglądałem jakąś dokumentację sprzed trzech lat. To były ważne papiery. Nie pamiętam nazwiska, ale chodziło o jakiegoś komisarza.

Po twarzy Orlickiego przebiegł groźny cień. Nie zwróciłem na niego uwagi.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Tak, policjant w dyżurce.

– Czy miał pan wtedy broń?

– Tak.

– Kto to może potwierdzić?

– Ten sam dyżurny.

– Gdzie jest teraz pański pistolet?

– W moim mieszkaniu.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

– Nie przeszkadzać! – krzyknął komisarz.

– Przyniosłem raport z przeszukania mieszkania.

– Wejść!

Drzwi się otworzyły, wszedł jakiś aspirant i położył dokument na stoliku. Chyba na coś czekał, ale usłyszał tylko „Wyjść!”. Gdy drzwi się za nim zamknęły, śledczy chwycił raport. Twarz pochmurniała mu coraz bardziej z każdym przeczytanym słowem.

Podniósł głowę znad dokumentu. Przeczytał go bardzo dokładnie.

– Mam tutaj raport z przeszukania pańskiego mieszkania – zaczął. – Znaleziono pana broń.

Uśmiechnąłem się lekko. Właśnie odniosłem kolejny tryumf.

– Pewnie rzuciłem ją pod łóżko.

– Nie. Do kosza na śmieci.

Nie potrafiłem ukryć swojego zdziwienia.

– A wracając do meritum – odłożył dokument na stół, – co jeszcze może potwierdzić starszy aspirant Rakowiecki?

– Choćby to, że po pracy podrzucił mnie do domu i sporo wypiliśmy.

– Doprawdy?

– Proszę go zapytać.
– Chętnie bym to zrobił, ale to niestety nie jest możliwe.
Znaleźliśmy go martwego.
Ta informacja zwała mnie z nóg.
– Rozumiem, że nikt inny nie może za pana ręczyć?
– Nie.
Widziałem satysfakcję w jego oczach.
– Przesłuchanie zakończono o godzinie czwartej piętnaście.
Po tych słowach komisarz zupełnie niespodziewanie wstał i przywołał strażnika. Nie poczekał, aż tamten wyprowadzi mnie z pokoju. Zabrał papiery i wyszedł pierwszy. Nawet nie obejrzał się za siebie.

*

Kierowca mercedesa przestawił odbiornik na zwykłe radio. Usłyszał to, na co czekał. Wiedział, że przyszedł już odpowiedni moment, żeby wkroczyć do akcji.

Wyrzucił niedopałek cygara przez okno i wysiadł z samochodu. Zamknął go i włączył autoalarm. Postanowił zadzwonić na komisariat z takiego miejsca, w którym nie zostanie łatwo zidentyfikowany. Przeszedł przez Warneńczyka i wszedł do hotelu „Korona” przy ulicy Kalwaryjskiej. Spytał recepcjonistę, czy mógłby skorzystać z telefonu. Obiecał, że zapłaci za rozmowę, więc mężczyzna nie miał nic przeciwko temu. Wbił numer 911 i dyżurnego potraktował jak operatora sieci. Poprosił o połączenie z piątym Komisariatem Policji. Mężczyzna po drugiej stronie linii zaklął kilka razy, ale brunet nie dał się spławić. Po minucie słownej utarczki został połączony z komisariatem.

– Aspirant Łoboda, słucham.
– Dzień dobry. Mówi Tadeusz Rudny. Dzwonię z polecenia generalnego inspektora w Warszawie. Z komisarzem Robertem Orlickim proszę.

– Przepraszam, ale w tej chwili nie wolno mu przeszkadzać. Przed chwilą skończył przesłuchanie i zamknął się w swoim gabinecie. Czy coś mu przekazać?

– Proszę mu tylko powiedzieć, że przyślę wam kogoś.

– A dokładnie?

– Chciałbym, żeby to było niespodzianką.

– Komisarz Orlicki wybiera się na urlop...

– I liczy na awans. Właśnie w tej sprawie dzwonię.

– Nie rozumiem.

– To nie zajmie dużo czasu. Nie chcielibyśmy, żeby powtórzyła się przykra sytuacja sprzed trzech lat. Czy mogę na pana liczyć?

– Oczywiście, przekażę. Kiedy nastąpią odwiedziny?

– Jeszcze dzisiaj.

Kierowca mercedesa odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do własnych myśli. Zapłacił za rozmowę i wyszedł z hotelu. Wrócił do samochodu i pojechał do domu.

*

Wróciłem do swojej celi, a raczej zostałem do niej wrzucony. Nie wiedziałem, dlaczego jeszcze mnie nie wypuszczono z aresztu. Przecież byłem niewinny i wiedzieli o tym. Pewno uwzięli się na mnie. Z drugiej strony, rozumiałem ich. Byłem jedynym podejrzanym o popełnienie zabójstwa. Jedyna osoba, która mogłaby potwierdzić moje alibi, nie żyła. To także było co najmniej dziwne. Rakowiecki nigdy mi nie wspominał o żadnych wrogach. Nie mówił też o kłopotach. Zawsze widziałem go pełnego wigoru i w dobrym humorze. Nie miałem pojęcia, kto mógłby go zabić albo chociaż chcieć jego śmierci. Nie byliśmy przyjaciółmi, jedynie dobrymi kolegami z pracy, ale mieliśmy podobne poglądy na życie. Chciałbym być na jego pogrzebie, lecz moje nadzieje na szybkie opuszczenie celi tonęły we mgle.

– Chcesz żarcie? – strażnik wytrącił mnie z rozmyślań. Był to pierwszy ludzki odruch, z jakim się tutaj spotkałem. Przynajmniej tak pomyślałem. W odpowiedzi skinąłem twierdząco głową.

– To sobie złap – zaśmiał się szyderczo. – To może być twoja ostatnia okazja. Niedługo wylądujesz we wspólnej celi. Tam dopiero zaczyna się życie.

Strażnik zamknął kratę i zostawił mnie sam na sam z moim przerażeniem. Uświadomiłem sobie, że wkrótce minie czterdzieści osiem godzin od momentu mojego zatrzymania.

Tej nocy także nie zmrużyłem oka. Nie wierzyłem już swojemu umysłowi. Nie wiedziałem, czy to tylko moje urojenia, czy przesłyszenia, ale zdawało mi się, że słyszałem już obietnice codziennych męskich zabaw we wspólnej celi, składane przez innych więźniów.

Copyright © Konrad Staszewski – tekst
Copyright © FOX Publishing

Redakcja: *Romuald Pawlak, Piotr Kubiński*

Korekta: *Piotr Kubiński*

Ilustracja na okładce: *Dariusz Kocurek*

Redakcja techniczna: *Bartosz Kusibab*

Wydanie I, Rzeszów 2011

ISBN 978-83-930452-2-8

Wydawca

FOX Publishing Bartosz Kusibab
ul. Boya Żeleńskiego 16/23, 35-105 Rzeszów
tel. 17 715 81 94
e-mail: redakcja@foxpublishing.eu
www.foxpublishing.eu

Tajemnicze morderstwo popełnione w lesie wywołuje lawinę niekontrolowanych wydarzeń i mrocznych pytań. Czy zbrodnia dokonana na czarnoskórym mężczyźnie miała podłoże rasowe? Czy jest jakoś powiązana z tuszowanymi aferami sprzed lat? I co z zabójstwem ma wspólnego Krystian Rokicki, starszy aspirant katowickiej policji, znaleziony na miejscu zbrodni obok ofiary? Czy uda mu się wytropić mordercę? A może to on sam ma krew na rękach...?

„Śmierć na śniegu” Konrada Staszewskiego to rasowa powieść policyjna z wyraźnie zarysowanymi bohaterami i wartką akcją, która przenosi czytelnika m.in. do Katowic, Łodzi i Krakowa. To kryminał, który trzyma w napięciu od pierwszych do ostatnich zdań.

Doskonale skonstruowana, napisana żywym językiem, współczesna powieść policyjna, osadzona w konwencji klasycznego kryminału. Staszewski bez znieczulenia i retuszu dotyka tajemnic organów ścigania, których istnienie wszyscy podejrzewają, lecz niewielu miałyby odwagę się z nimi zmierzyć. A bohater powieści po prostu nie ma wyboru. Podejmuje grę, której stawką jest nie tylko jego życie...

Jacek Skowroński

Konrad Staszewski – rocznik 1982, mieszka w Sosnowcu. Ukończył naukę na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego (praca licencjacka dotyczyła prawa autorskiego). Obecnie studiuje podyplomowo dziennikarstwo. Jego powołaniem jest pisanie, a kryminał to jego ulubiony gatunek literacki.

Odnosił sukcesy w konkursach literackich, opublikował wiele tekstów w e-zinach. Teraz nadeszła pora na podbicie serc miłośników literatury w jej najbardziej tradycyjnym, książkowym wydaniu - powieść „Śmierć na śniegu” porwie wszystkich wielbicieli klasycznego kryminału.

Książkę polecają

WIADOMOŚCI 24.pl

nakanapie.pl

Zbrodnia
w Bibliotece

students.pl

Boża

OFANT

ISBN 978-83-930452-1-1



9 788393 104521 1